

Rozdział I

NACZELNIK NA CELOWNIKU

Piłsudski zaciągnął się papierosem, a następnie wypuścił w powietrze gęstą chmurę bladoszarego dymu. Ten ukraiński inteligent, z którym rozmawiał od kilku minut, pomimo swojej ostentacyjnej pryncypialności wydał mu się koniec końców szczerym człowiekiem.

„We Lwowie to ważna figura” – przypomniał sobie słowa jednego z doradców, gdy ten zapowiadał przybycie ponad sześćdziesięcioletniego adwokata z Galicji Wschodniej, zamierzającego wyprosić u Naczelnika Państwa amnestię dla kilku młodych rodaków. Dyskusja oczywiście szybko przeszła na temat sytuacji narodu ukraińskiego. Tu nie miał Piłsudski dla swojego rozmówcy dobrych wieści.

– Powinniście się liczyć z waszym obecnym położeniem i do niego się dostosować. Spory należy zostawić na dogodniejszą przyszłość – stwierdził twardo Naczelnik, po czym oparł się o poręcz fotela. Na twarzy lwowianina nie spostrzegł irytacji, co najwyżej rozczarowanie.

– Trudnem będzie znaleźć takich, którzy poszliby po tej linii. Tacy byliby przez własne społeczeństwo oskarżeni o zdradę sprawy narodowej. Chyba – tu zasępił się Ukrainiec – że zapadnie jednoznaczne orzeczenie międzynarodowe na korzyść Polaków. Tedy będzie łatwiej.

– Przekonany jestem, że tylko związek wolnej Polski i wolnej Ukrainy zapewni na wschodzie pokój i pomyślność obu narodów – powiedział Piłsudski donośnym głosem, potem pogładził się po wąsach i równie zdecydowanie, choć znacznie już ciszej dodał: – Godzina waszej wolności jeszcze nie wybiła. Życzę wam z całego serca, aby nastąpiło to wkrótce.

Do tej rozmowy doszło latem 1921 roku. Bolszewicką nawałnicę udało się powstrzymać, lecz kwestia granicy wschodniej wciąż budziła emocje. Józef Piłsudski nie potrafił swojemu rozmówcy niczego obiecać, chociaż jego postawa wzbudziła w nim cień sympatii. Nie mógł przypuszczać, że dziesięć tygodni później syn tego zdawałoby się rozważnego, trzeźwo myślącego męża, skieruje w jego stronę lufę rewolweru.

We wrześniu 1921 roku w Genewie Liga Narodów nadal debatowała nad przyszłością Galicji Wschodniej, do której prawa rościli sobie i Polacy, i Ukraińcy. Wydawany we Lwowie umiarkowany ukraiński „Ridnij Kraj” uważał w tamtym czasie, że wyjścia z tej trudnej sytuacji są tak naprawdę tylko dwa. Pierwszym mogła być decyzja Rady Najwyższej określająca stosunek Galicji względem Polski i wymuszająca na polskich władzach zagwarantowanie Ukraińcom „pewnych praw”¹. Drugie rozwiązanie zakładało wypracowanie takiej ugody pomiędzy ludnością ukraińską

¹ *Ukraińcy przeciw interwencji rady Najw.*, „Ilustrowany Kurjer Codzienny”, nr 260 z 25.09.1921, s. 1.

a Polakami bez jakiegokolwiek ingerencji ze strony Rady Najwyższej, aby możliwa była pokojowa koegzystencja obu narodów.

Pojawiła się też jeszcze jedna koncepcja, za którą opowiadali się niektórzy europejscy „eksperci”, a która polegała na stworzeniu państewka, jak ironizowali co poniektórzy – „wschodniogalicyskiej Szwajcarii”. Takie rozwiązanie odrzucały zgodnie obie strony konfliktu, istnienie bowiem podobnego dziwoląga, przede wszystkim ze względu na czających się na wschodzie bolszewików, byłoby, jak napisał ukraiński dziennikarz: „kręceniem sobie postronka na szyję”².

Oczywiście „Ridnij Kraj” reprezentował stanowisko jedynie części mieszkańców Małopolski Wschodniej, ponieważ w tym samym czasie w Genewie ukraińscy agenci polityczni uczynili wiele, aby wpłynąć na opinię delegatów Ligi Narodów, starając się przekonać o konieczności pozbawienia polskiej administracji prawa do sprawowania władzy na spornym terytorium. Dla tych ludzi jakiegokolwiek „statuty” zakładające choćby i ograniczony zakres rządów państwa polskiego w tym rejonie Europy były nie do pomyślenia. Sama Liga Narodów decyzji o przyszłości Galicji Wschodniej podjąć nie potrafiła, a co gorsza, grała na zwłokę, czekając na ustabilizowanie się sytuacji w Rosji. Stanowisko rumuńskiego ministra spraw zagranicznych Take Jonescu, opowiadającego się za przyłączeniem całej Galicji do państwa polskiego, nie należało bynajmniej do popularnych. Sprzeciwiało mu się także wielu wpływowych polityków z Zachodu.

W tym samym czasie Lwów przygotowywał się do rozpoczęcia Targów Wschodnich, przedsięwzięcia mającego ukazać światu korzyści płynące z handlu z państwem odrodzonym po stu dwudziestu trzech latach niewoli. Wypełniły się więc

² Tamże, s. 2.

lwowskie gościńce mrowiem ludzi, a dworzec wypływał kolejne grupy przybyszów z odległych miast i krajów.

„Otwarcie Targów Wschodnich to nowy etap w rozwoju wojennym życia. Z dumą spoglądać możemy na szybkie podźwignięcie się sił twórczych z perzyny i zwalisk, jakie pozostawiła po sobie w r. z. inwazja bolszewicka. [...] Zatem milknie pesymizm, w codziennych drobnych troskach uwikłany i jaśniej, spokojniej wzrok spogląda przed siebie i budzi się wiara w siebie, tak potrzebna do przetrzymania ciężkich momentów”³ – donosiła w dniu otwarcia „Gazeta Lwowska”. Komitet Wykonawczy Targów Wschodnich oraz lokalne władze apelowały do mieszkańców o odświętne przystrojenie domów. Plac wystawowy zainstalowano w malowniczym parku Kilińskiego na przeszło dwudziestu tysiącach metrów kwadratowych, a większość stoisk, co było w tamtym czasie ewenementem, została zadaszona. Skala przedsięwzięcia robiła więc wrażenie.

Swoją przyjazd na targi zapowiedzieli ważni goście oraz ekspozycjenci z Francji, Wielkiej Brytanii, Belgii oraz Czechosłowacji (z tego grona wykluczono jedynie Niemców), ponadto spodziewano się przybycia wycieczek kupieckich z Węgier, Rumunii, Bułgarii, Jugosławii, a nawet Grecji i Turcji. Lwów, jedyne w II RP miasto odznaczone Krzyżem Kawalerskim Orderu Virtuti Militari, wielkie sławą swoich dzielnych obrońców z lat 1918–1920, sławą pochowanych między innymi na Cmentarzu Łyczakowskim Orłąt Lwowskich⁴, znów przeżywało swoje wielkie dni.

Pojawienie się Naczelnika Państwa we Lwowie w momencie, w którym polski przemysł i jego potencjał gospodarczy ekspoz-

³ „Gazeta Lwowska”, nr 214 z 25.09.1921, s. 2.

⁴ Młodzi obrońcy Lwowa zostali pochowani także na Cmentarzu Obrońców Lwowa (to autonomiczna część Cmentarza Łyczakowskiego), zwanym Cmentarzem „Orłąt”, oraz na Cmentarzu Janowskim.

nowano na cały świat i w którym Liga Narodów wciąż zastanawiała się nad rozwiązaniem sytuacji Małopolski Wschodniej, nie było oczywiście dziełem przypadku. Wizyta ta stanowiła czytelny symbol. W intencji Polaków pokazywała, kto tu tak naprawdę ma prawo czuć się u siebie. Zatwierdzenie w trakcie paryskiej konferencji pokojowej polskiej administracji na terytorium Galicji Wschodniej miało być rozwiązaniem chwilowym. Nie było. Polska realizowała politykę faktów dokonanych, traktując te ziemie *de facto* jako własne, czego wyrazem było przybycie tu najważniejszej osoby w państwie.

Droga z Krakowa minęła spokojnie i już o godzinie dziesiątej w niedzielę 25 września Józef Piłsudski znalazł się na dworcu lwowskim, gdzie wyjątkowego gościa przywitała miejscowa ludność, lokalni urzędnicy i dziarscy kawalerzyści, którzy w pierwszych godzinach pobytu Naczelnika Państwa w mieście mieli odpowiadać za jego bezpieczeństwo. W tym tłumie znajdował się jednakże i pewien dwudziestoletni student prawa, który pozornie nie różnił się od innych mieszkańców Lwowa pragnących zobaczyć Marszałka na własne oczy. On jednak, w przeciwieństwie do pozostałych, nie zamierzał witać go kwiatami.

Młodzieniec pokręcił się po dworcu, po chwili zniknął gdzieś w tłumie, a w tym czasie owacyjnie witany przez lwowian Piłsudski udał się powozem do bazyliki archikatedralnej. Zaraz po zakończonym nabożeństwie, około południa, Naczelnik Państwa pojawił się na targach. Tam, z trudem przeciskając się przez zatłoczone alejki, chwalił stoiska wystawowe, chwalił i wystawców.

Po wizycie na targach i śniadaniu zjedzonym w restauracji komendant udał się o godzinie piątej po południu przed ratusz lwowski, aby wziąć udział w uroczystym przytwierdzeniu do tego gmachu polskiego orła. Godzinę później rozpoczął się uroczysty obiad wydany przez prezydenta miasta Józefa Neumanna

na cześć Naczelnika, marszałka sejmu Wojciecha Trąpczyńskiego i polskich posłów. Zabawił na raucie Piłsudski około trzech godzin, co wystarczyło w zupełności, aby z każdym wymienić kilka słów i przy tym nieco odpocząć. Jednak napięty program wizyty przewidywał tego dnia jeszcze jeden punkt – wizytę w Teatrze Wielkim, gdzie tego wieczora miała zostać wystawiona *Halka* Moniuszki i gdzie na przybycie Naczelnika Państwa czekali kolejni ważni goście.

Wybiła godzina dziewiąta wieczorem, kiedy Piłsudski w towarzystwie wojewody lwowskiego Kazimierza Grabowskiego opuścił prezydenta Neumanna i udał się w kierunku samochodu. Pomimo późnej pory na zewnątrz czekał na Naczelnika wiwatujący tłum. Niezadaszona, osłonięta z tyłu szklaną szybą limuzyna stała przed ratuszem, tuż przy kamiennej figurze lwa. Piłsudski zajął miejsce w kącie, po prawej stronie pojazdu. Postępujący krok za nim wojewoda, zanim wsiadł do auta, poprawił jeszcze kapelusz, a następnie przysiadł na samochodowej poduszce. Wtedy rozległ się huk...

Padły cztery strzały. Trzy szybkie. Ostatni, czwarty po krótkiej pauzie.

Szofer wstrzymał wóz, sądząc początkowo, że to dźwięk przebitej opony lub wystrzał z silnika; po chwili wątpliwości nie było. Strzelał ktoś z tłumu.

Pochylony do przodu wojewoda Grabowski wycedził coś w stronę Piłsudskiego i opadł na kolana. Na rękę miał krew. W tym samym momencie kilka metrów dalej wystraszeni ludzie rozbiegli się na bok, odsłaniając część placu. Na nim to właśnie dwóch policjantów obezwładniło pobladłego na twarzy mężczyznę. Obok niego leżał browning.

Zalękniony tłum początkowo wpadł w panikę, lecz na widok aresztowanego napastnika szybko nabrał rezonu. Teraz wraz

z najgorszymi przekleństwami w ruch poszły pięści i kopniaki. Zapewne rozwścieczona nawała zatłukłaby młodzieńca na miejscu, gdyby nie zdecydowana reakcja policjantów i gdyby Piłsudski stanowczym tonem głosu nie przywołał zgromadzonych do porządku. On sam doskonale zdawał sobie sprawę, że to właśnie ten człowiek chwilę wcześniej wymierzył do niego z rewolweru. Wymierzył, ale chybił.

Trzy pierwsze kule wystrzelone przez zamachowca nie dosięgły Piłsudskiego, choć wiele wskazuje na to, że jemu były przeznaczone. Drasnęły Grabowskiego, trafiając wojewodę w lewe ramię i dłoń. Ostatnią, czwartą kulę zachował napastnik dla siebie, ale i tym razem zabrakło mu pewnej ręki. Główna w tym zasługa plutonowego Jana Stolarza oraz starszego posterunkowego policji Jakuba Skweresta, którzy zdołali obezwładnić zamachowca, a potem wraz z zaalarmowanymi kolegami zapobiegli linczowi.

Wiadomość o zamachu na Naczelnika Państwa lotem błyskawicy obiegła całe miasto. Kto i dlaczego? – pytano najczęściej, a w przekazywanych sobie z ust do ust plotkach pojawiały się informacje łączące napastnika ze środowiskiem żydowskim lub bolszewikami. Nie była to prawda, zresztą ta wyszła na jaw bardzo szybko. Człowiekiem, który mierzył z rewolweru w stronę Piłsudskiego i Grabowskiego, okazał się Ukrainiec. Dwudziestoletni student prawa, syn lwowskiego adwokata, społecznika, filantropa, osoby bardzo w ukraińskiej społeczności Lwowa poważanej. Nazywał się Stepan Fedak.

Ukrainiec tłumaczył, że celował nie do Naczelnika, a do wojewody, on bowiem sankcjonował polskie rządy we Lwowie. Przy odtransportowanym do szpitala więziennego przy ulicy Batorego zamachowcu znaleziono sztylet i paszport. Szybko ustalono też, że napastnik zamierzał po zamachu uciec do Berlina. Wkrótce znaleziono odpowiedzi także na inne ważne pytania.